

Sylvia
WILCZYŃSKA

Ukryte więzienie, nawiedzona cela...
Ten, kto tam trafił, nie wyszedł żywy.
Czy prokurator Halszka Hardy rozwikła
tajemnicę, nim będzie za późno?

Naznaczeni

LIRA
WYDAWNICTWO

Naznaczeni

Sylvia
WILCZYŃSKA

Naznaczeni

L I R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66730-96-0

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy [tu] wchodziście.

Dante Alighieri, *Boska Komedia*

PROLOG

MAJ 2021

Anna Maria siedziała przy sojowym latte w jednej z popularniejszych kawiarni na warszawskim Mordorze i w skupieniu scrollowała Instagrama. Dało się odnieść wrażenie, że jej zamyślony wzrok to efekt ciężkiej pracy neuronów, które wyęźwały się, rozpoznając skutki działań medycyny estetycznej na twarzach koleżanek ze studiów. Nic bardziej mylnego. Anna Maria od kilku tygodni nie mogła zaznać spokoju. Nachodziły ją dziwne sny, które powróciły ze zdwojoną siłą po latach. Tym razem główną bohaterką nocnej mary nie była, jak się spodziewała, postać przypominająca dziecko. Teraz Anna widziała bardzo wyraźnie dorosłą kobietę o charakterystycznej baby face i kasztanowej czuprynie. Na początku w snach nieznajoma milczała. Wskazywała jedynie przedmioty, miejsca, czasem nawet ludzi, których i tak, jak na złość, Anna nie kojarzyła.

— Anna Maria Drabska?

Niski, męski tembr rozbrzmiał za plecami kobiety. Zanim ta zdążyła się odwrócić, mężczyzna stał już do niej frontem.

— Tak — odpowiedziała.

Mężczyzna energicznym ruchem odsunął krzesło. Oparł się na nim niechlujnie całą swoją postawą komunikując: gadaj i miejmy to z głowy...

Anna Maria ten komunikat odczytała i przyjęła do wiadomości.

— Nie tak łatwo pana odnaleźć — przyznała, biorąc nieśmiało łyk kawy.

— Pani się udało.

Drabska odstawiła tekturowy kubek i pochyliła się w stronę rozmówcy.

— Pan coś wie — wyszeptła.

Mężczyzna podniósł się z oparcia i zbliżył swoją twarz do twarzy kobiety, tak że ich wargi prawie się stykały.

Anna wstrzymała oddech.

— Dlatego mnie pani zaprosiła. — Uśmiechną się szyderczo.

Anna Maria spojrzała na swoje dłonie. Całe opuchnięte. Już jakiś czas temu zaobserwowała, że stres w jej przypadku wzmaga zatrzymywanie się wody w organizmie. Zwinnym ruchem wyciągnęła z torebki wizytówkę i podała mężczyźnie.

— Pracuję w agencji nieruchomości — powiedziała pewnym głosem.

Facet spojrzał na nią prześmiewczo, cierpliwie wyczekując kolejnych słów. Jego zadziorna maniera, non-szalancja i pewnego rodzaju poczucie wyższości tylko spotęgowały u Anny chęć zapadnięcia się pod ziemię. Drabska miała jednak zadanie do wykonania.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli w tym momencie nie dokona przewrotu, cała historia może się skończyć tragicznie.

— Tak naprawdę to dopiero zaczynam — przyznała, pochylając głowę. — Wcześniej zajmowałam się różnymi rzeczami. Byłam barmanką, asystentką, pracowałam w biurze podróży... Trochę na lotnisku...

— Pani Drabska, szczerze podziwiam przebieg kariery, ale do konkretów — przerwał.

Zapadła cisza. Anna wzięła głęboki wdech.

— Jakiś czas temu naszej agencji zlecono sprzedaż mieszkania z rynku wtórnego. Zleceniodawca chciał zachować anonimowość. Sprawdziłam historię tego mieszkania. Rok temu zostało zlicytowane przez komornika, a następnie wykupione za śmiesznie niską kwotę. Teraz nabywca chce to mieszkanie sprzedać.

— I zyskać podwójnie — skonkludował mężczyzna. — To dość powszechne działanie. Nadal jednak nie wiem, co ja mam z tą historią wspólnego.

— Zawsze przed wystawieniem ogłoszenia osobiście sprawdzam nieruchomości. Tak jak i tym razem. Pojechałam na miejsce. W skrzynce na listy czekały na mnie klucze. Weszłam do środka. Mieszkanie było nietknięte. Właściciel nie przeprowadził remontu, nie zrobił przemeblowania, nawet nie odmalował ścian. Niczego tam nie zmienił. Co jest, szczerze mówiąc, nielogiczne. Jednak mogłabym uznać, że takie sytuacje się zdarzają. Co człowiek, to inne podejście. Najpierw, z wiadomych przyczyn, udałam się do łazienki.

Na lustrze dostrzegłam napisane czerwoną szminką słowo HUSARIA. Przeszłam do salonu. Zdziwiło mnie, że właściciel pozostawił tam rzeczy należące do poprzednich mieszkańców... Nawet nie schował zdjęć... Z drugiej strony, dlaczego ktoś nie zabrał ich ze sobą? Fotografie przedstawiały starszą kobietę, małego chłopca i nastolatkę. Na innych, późniejszych zdjęciach, była młoda kobieta, chyba z bratem... Tak wtedy sądziłam. Dopóki nie sprawdziłam w internecie, kto był pierwszym lokatorem.

— Kto to był? — zapytał niepewnie, jak wyrwany do odpowiedzi uczeń.

— Była — poprawiła Anna. — Lokatorem była kobieta. Prokurator Halszka Hardy. Dwa lata temu austriacki fotoradar zrobił zdjęcie auta, które prowadziła Hardy. Obok niej siedział jej syn Franciszek. Oboje wtedy zginęli w wypadku. Przynajmniej taką wersję podała do wiadomości policja.

— Jak mogę pomóc, pani Drabska? — westchnął mężczyzna, podnosząc się z krzesła.

— Myślę, panie Lewicki, że pan doskonale wie jak.

Vincent zapadł w stupor. Przed oczami przeleciały mu obrazy, które przez tak długi czas starał się wyprzeć, a mimo to jak bumerang powróciły i trafiły w jego najczulszy punkt.

— Czego pani ode mnie oczekuje? — wydobył z siebie najniższy z możliwych dźwięk, który jak echo rozbrzmiał w uszach Anny Marii Drabskiej.

Dziewczyna nachyliła się w stronę rozmówcy, podniosła brwi i świdrując go spojrzeniem, zapytała:

— Czym jest HUSARIA?

Nie było jej jednak dane usłyszeć odpowiedzi. Szukając niewiadomej w oczach Vincenta, dobiegł do niej dźwięk wystrzału. Zanim Lewicki zdołał otworzyć usta, wpół zgięty padł na stolik, rozlewając przy tym do połowy wypitą już kawę. Anna w przerażeniu patrzyła, jak szara bluza komisarza powoli nasiąka krwią.

Potem nastął chaos.

RAZEM, A JEDNAK OSOBNO...

MAJ 2019

Wiosna rozgościła się w stolicy już jakiś czas temu, a mimo to poranki nadal pozostawały chłodne. Hardy przed wyjściem z domu włożyła swoją ulubioną wełnianą bluzę z kapturem w kolorze bordo, jednak po pierwszym kroku zrobionym na dworze zawróciła jeszcze po nabicią ćwiekami ramoneskę. Związała włosy w niechlujny kucyk, założyła kaptur i wbiła się w wychodzącą z klatki grupkę młodzieży. Wsiadła do pierwszego, jadącego w kierunku lewobrzeżnej Warszawy, autobusu i zajęła miejsce na samym tyle, bacznie obserwując pasażerów.

Kilkadziesiąt minut później dotarła na miejsce spotkania.

Vincent czekał już na nią oparty plecami o mur kamienicy.

— No, no, Hardy, cóż za stylówka... — powiedział z charakterystyczną dla siebie ironią w głosie. Odpalił papierosa, zaciągając się przy tym głęboko dymem, mrużąc oczy i marszcząc brwi.

— Doprawdy, Vini, zadziwiająco dobry humor jak na sytuację, w jakiej się znaleźliśmy — skonstatowała z dezaprobatą Halszka.

— Poprawka — rzucił, odrywając się od ściany. Stał naprzeciwko niej, tak blisko, że Hardy poczuła naruszenie swojej strefy komfortu. Uśmiechnęła się, dodając: — W jaką ty nas wplątałaś.

— Vincent... — zaczęła przepraszać.

— Hardy, jest OK. To tylko żart, młoda. Wyluzuj. Nie przywrócili mnie jeszcze do służby. Strasznie bym się nudził bez ciebie — drażnił się z nią, szturchając ją w ramię. — Usiądź, pogadamy.

Halszka przykucnęła na nierównym krawężniku, a po chwili dołączył do niej Vincent. Wyjął paczkę marlboro, gestem proponując kobiecie papierosa.

— Vini, przecież wiesz, że nie palę... — przypomniała mu z rezygnacją w głosie.

— Może powinnaś? Nigdy nie wiesz, kiedy ta umiejętność ci się przyda...

Siedzieli tak w milczeniu przez dłuższą chwilę, obserwując jadące Wisłostradą auta. Z oddali, w tym rozspanym, pochłaniającym miasto mroku, wyglądały jak niebo podczas nocy świętojańskiej. To pierwszy moment od dawna, kiedy mogli być przy sobie tak po prostu. Czuć swoją obecność i oddychać tym samym powietrzem.

— Siedzimy tu już dobre kilkadziesiąt minut, a ja jeszcze nie zapytałem, co u ciebie słychać, Hardy?

— Zadziwiająco dobrze, Vini... Zadziwiająco. — Uśmiechnęła się, chociaż Lewicki widział, że nie posiadała się ze szczęścia. Raczej próbowała nie dopuścić do głosu demonów. Jej głowę wypełniały kłębiące się jak

dym z papierosa myśli. Vincent spostrzegł to od razu. Chociaż bardzo chciał, to jednak zrezygnował z zapytania o syna. Znał ludzki organizm na tyle, by wiedzieć, że jedno pytanie może rozwalić Halszkę na tysiące kawałków. A tego nigdy by nie chciał.

— Vini? — zapytała niepewnie, ledwo słyszalnie.

— No co tam? — udał rozluźnionego.

— Odpowiedz mi, proszę, tylko szczerze. Masz do mnie żal, że wkopałam nas w tę sprawę?

Vincent patrzył przed siebie i ani drgnął. Pomimo obezwładniającej urody wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie odpowiedział od razu. Wstał, przeszedł się, wypatrując w oddali czegoś bliżej nieokreślonego, po czym usiadł obok niej i objął ją ramieniem, aż poczuła, jak jej tętno przyspiesza.

— Przestań, Hardy. Na razie w nic mnie nie wkopałaś. Tak naprawdę w tym momencie wszystko to jedna wielka niewiadoma.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Wiesz, że minęło prawie pół roku? — zapytała.

— Wiem. Nic się nie zmieniłaś. Taka sama zarozumiała gówniara z ciebie.

Parsknęli śmiechem. Ku zaskoczeniu Vincenta Halszkę również to rozśmieszyło.

— Vincent?

— No co tam znowu? Dajesz, mała. — Im bardziej czuł przejście Hardy, tym bardziej udawał, że obecna sytuacja nie robi na nim większego wrażenia.

— A jeśli nie podołam? — wydukała.

Lewicki spojrział na nią z żalością. Z pewnej siebie, ambitnej kobiety pozostał jakiś strzępek nerwów. Nie wyglądała ani nie brzmiała dobrze.

— Szkolili cię pół roku. Ogarnij się, Halszka. Pojedziemy, zrobimy swoje i wracamy do domu. Tak?

Cisza. Komisarz powtórzył dobitniej.

— Tak?

Halszka skinęła głową.

— Zobaczysz. Jutro będzie inaczej. Najgorsze jest to czekanie. O której mają przyjechać?

Hardy wzruszyła ramionami.

— Nic nie wiem. Jedynie tyle, że ja i ty mieliśmy zobaczyć się dopiero na miejscu.

— Hardy... wiesz, że pewnie puścili za nami ogon? Nie zdziwię się, jeśli w tym momencie nas obserwują.

— Pewnie masz rację — dodała beznamiętnie.

— Halszka, nie poznaję cię. Co się z tobą dzieje? — zaniepokoił się komisarz.

— Co ma się dziać? Na pół roku ogranicza mi się kontakt z rodziną i przyjaciółmi. Zabiera się mnie zniecka spod domu, robi testy... setki testów, wpuszcza w jakieś absurdalne sytuacje i czeka na mój ruch... Nie wiem, Vincent, nie mam pojęcia, co mi może dolegać.

Do Lewickiego dotarło, że jednak nie obędzie się bez zadania tego szczególnego pytania.

— Halszka... — zaczął nieśmiało — a powiedz mi, proszę, taką rzecz... jak tam Franek się czuje? Co u niego słychać?

Wystarczyła chwila, żeby po policzkach kobiety zaczęły spływać łzy. Vincent poczuł zażenowanie, że nie wie, co w takiej sytuacji należałoby zrobić. Objął Halszkę, kładąc jej głowę na swojej klatce piersiowej. Przytrzymał ją, aż ta się uspokoiła, nabrała powietrza i niezdarne otarła łzy, przywołując się do porządku.

— Kilka tygodni temu w naszym mieszkaniu pojawił się jeden z tych facetów. Przesłali go, żeby wręczył mi kolejne zadanie. Tak się złożyło, że wychodząc, wpadł na Franka. Nie wiem, z jakiego powodu... co się stało, ale nie byłam w stanie rozwiązać zadanej mi zagadki... Nie wiem, po prostu nie mogłam się skupić. Nazajutrz odprowadziłam Franka do szkoły. Coś mi mówiło, że powinnam go pilnować. Ale tam miał być przecież bezpieczny. Franek zniknął... Dostałam wiadomość. Oddadzą mi go po wykonaniu zadania. Muszą mieć pewność, że nie zawalę.

— Chuje pierdolone! — Vincent gwałtownie wstał, zapalając nerwowo kolejnego papierosa. Hardy po raz pierwszy widziała kolegę w takim stanie. — Nic mu nie jest? Wysłali ci jego zdjęcia, film, cokolwiek?

— Filmu nie. Raz tylko z nim rozmawiałam. Myślę, że on mnie teraz nienawidzi. Gdyby nie tęsknił, to w ogóle by ze mną nie gadał.

— Halszka... To już prawie dorosły facet. Uważasz, że nie łączy faktów? Myśl, Hardy, myśl... w końcu to twój syn. Jeśli wdał się w ciebie, to bez problemu sobie z nimi poradzi.

Komisarz rzucił okiem na Halszkę, a ta odpłaciła mu ciepłym grymasem świadczącym o wdzięczności.

— Swoją drogą, Hardy... głupie to z twojej strony, że chciałaś się dziś spotkać. Dzień przed tyle ryzykować. Bardzo nieroztropnie... zwłaszcza, że mają Franka. Chcesz wiedzieć, co myślę?

Dziewczyna знаła odpowiedź. Wypowiedzenie jej na głos przez Vincenta stanowiło jedynie formalność.

— Coś jest nie tak... Jesteś tu, bo chcesz mnie ostrzec. Tylko przed czym?

Halszka pobladła. Krew odpłynęła jej z mózgu, a mięśnie momentalnie się spięły. Ledwie zdołała przełknąć ślinę. Suchość w ustach nie pozwalała wydobyć z krtani ani słowa. Jednak kobieta zdołała się przemóc. Powstała z kostki brukowej, jak feniks z popiołów, i odważnym krokiem ruszyła w stronę kolegi. Stała teraz naprzeciwko niego silna, twarda, zdecydowana kobieta, z tym charakterystycznym ognikiem w oku.

— Nigdzie nie jedziesz — odparła stanowczo.

Vincent zamarł. Sytuacja zrobiła się na tyle absurdalna, że gotów był przysiąc, iż wszystko to właściwie mu się śni.

— Co ty wygadujesz, Hardy?

— Nigdzie nie jedziesz. Nie możesz.

— Dlaczego to niby nie mogę?

— Po prostu — rzuciła wymijająco, odwracając się na pięcie. Zanim jednak zdążyła odejść, Vincent z impetem przyciągnął ją do siebie, unieruchamiając jej ręce i uniemożliwiając jakiegokolwiek ruchy.

— Hardy, w tej chwili gadaj, o co chodzi. I przestań ze mną pogrywać. W tym momencie jesteśmy w totalnej

dupie. Ani ty nie jesteś już prokuratorem, ani ja psem. Ogarnij, czy strzelamy do tej samej bramki.

— Puść mnie, Vincent — poprosiła opanowanym głosem. Nie wierciła się, nie szarpała, a to jeszcze bardziej zadziwiło policjanta. Po dawnej Halszce zdawało się nie być już śladu.

— Nie — wyrzucił z siebie stanowczo. — Dopóki mi nie wyjaśnisz, co się tutaj odpięrdala.

— Zaufaj mi... — wyszeptała, odwracając się i zbliżając usta do jego ucha. — Wyjedź. Proszę.

— Nie zostawię cię — zapewnił, coraz mocniej przyciągając jej ciało do swojego.

— Nic nie rozumiesz. — Spuściła wzrok. — Potrzebuję cię tutaj — wycodziła.

— W Warszawie? — zapytał zdezorientowany.

— Nie, Vini. Na wolności.

— Wiesz, że będą coś podejrzewać? Nie zostawią tak tego. Nie wiemy, z jakimi ludźmi mamy do czynienia... Halszka... Oni mają twojego syna — wpadł w słowotok. Myśli waliły w niego jak pioruny. Nie kontrolował tego. A mało rzeczy w życiu nie kontrolował. To zirytowało go jeszcze bardziej. — Ktoś cię musi pilnować.

— To nie mnie należy pilnować. Vincent, zastanów się. Potrzebują mnie. Franka też, bo jest gwarancją moich starań. Ty jesteś zbędny. Jedyne, który może coś namieszać.

— Powinnaś myśleć wcześniej. — Wymuszony, ironiczny uśmiech tym razem nie zadziałał.

— Vincent, uratowałeś mi życie. Pozwól, żebym ja uratowała teraz twoje.

— Wszystko zaplanowałaś? — zapytał prześmiewczo.

— Znasz mnie. Po co pytasz? — Zmrużyła oczy i wywinęła usta w grymasie zadowolenia.

— Wytlumacz mi jedno. Po jaką cholere wspomniałaś tym gościom o mnie, skoro nie chcesz, żebym z tobą jechał?

Hardy skierowała głowę w stronę Wisły i z zaciekawieniem obserwowała, jak ta porusza się zgodnie z nurtem.

— Bo ktoś zmienił reguły w trakcie gry.

Vincent połuźnił uścisk, a Halszka wtuliła się w niego jak bezbronne dziecko. Poczul, jak jej ręce wędrują w dół i z pleców prześlizgują się niżej, aż do pośladków. Nie potrafił ukryć, że nawet sprawiło mu to przyjemność. Hardy spojrzała mężczyźnie głęboko w oczy i odezwała się ściszym głosem:

— Powodzenia, Vini.

Odsunęła się delikatnie, żwawo ruszając przed siebie. Zanim zdążył zareagować, kobieta zniknęła za fasadą budynku. Przejechał dłonią po tylnej kieszeni spodni i wyczuł pod palcami zgrubienie.

— Hardy... — zamruczał z przekąsem pod nosem. — Ty cwaniaro...

Sen. Labirynt

Na pierwszy rzut oka wyglądało jak modernistyczne miasto z odległej przyszłości. Budynki bez okien, z zimnego, szarego betonu tworzyły prostokątne tunele. Nie

czuła zimna, lecz lekki powiew wiatru, który wyznaczał jej plecom kierunek ruchu. Cisza. Dziwna, przerażająca cisza. Nawet tego wiatru nie słyszała. Spojrzała ku górze. Niebo, jeśli w ogóle można tak to nazwać, przypominało raczej kopułę z pękniętego szkła, w którego szczeliny wcisnął się ciemnoszary pył. Poczowała wewnętrzny niepokój. Trudny do zdefiniowania głos przedzierającej się przez zwoje mózgowo intuicji. Jednak ruszyła przed siebie. Pustka. Nikogo ani niczego nie znalazła. Opuszczone ulice bądź też coś, co w domyśle miało nimi być. To wrażenie... Nie mogła się go pozbyć. Wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Analizuje każdy jej ruch... Jak stąd wyjść? Odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami nic się nie znajdowało. Tylko ściana. Betonowa ściana ciągnącego się wzwyż biurowca... Szła dalej. Musiała. W tej ciszy nagle pojawił się dźwięk. Najpierw ledwie słyszalny, potem coraz głośniejszy. Przypominał męski tembr przechodzący przez megafon... I to echo... Brzmiało jak apel... uroczystość... może musztra... Pewności nie miała. Szła dalej, a budynki stawały się coraz wyższe, droga zaś coraz węższa. Mury... wszędzie wysokie mury.

Odwróciła się. Ściana. Znowu ściana. Czy to znaczy, że nie ma stąd powrotu? A jeśli nie znajdzie wyjścia? Nie może się cofnąć. Nie ma wyboru. Wzięła głęboki wdech. Dźwięk był coraz wyraźniejszy, bardziej przeszywający, złowrogi. Teraz już nawet docierały do niej konkretne słowa... zwłaszcza jedno... Tylko zaraz... jakie to słowo? Dlaczego je słyszy, a nie potrafi zapamiętać, odtworzyć?

Jakby słowo przelatywało przez jej uszy, pomijając ośrodek przetwarzający informacje.

Zakręciło jej się w głowie. Upadła... Ale zaraz... nie dotykała podłoża. Spojrzała pod nogi. Nadal się na nich trzymała. To tylko złudzenie... Dziwne, niedorzeczne, przerażające złudzenie... Jak się stąd wydostać? Jak uciec? Przeszły ją dreszcze. Oblał zimny pot. Z każdym krokiem czuła narastający stres, napięcie. Usłyszała tykanie zegara... Zrozumiała. Kończy jej się czas. Zaczęła biec. Coraz szybciej, chaotycznie, wpadała na kolejne ściany, odbijała się od murów. Obrazy wirowały, nic teraz nie pozostawało na swoim miejscu. Przypieszyła.

Wpadła w sam środek placu. Rozejrzała się. Przypominał arenę. Dookoła miejsce dla publiczności. Tkwiła tam jednak sama. Nagle zapiekły ją oczy, oślepiło światło. Jakby ktoś skierował w jej stronę lampy błyskowe. Zza pleców dotarł do niej dźwięk odpalanego silnika. Wdzierający odgłos wwiercał się jej pod skórę. W pewnym momencie otuliła ją fala gorącego powietrza wymieszana z piachem. Zawyły syreny alarmowe, a pędzący na nią pojazd stawał się coraz bliższy. Teraz zobaczyła wyraźnie. Na arenę wjechał motocykl. Jakiś dziwny... inny... jakby nie z tego świata, nie z tej rzeczywistości. Zatrzymał się naprzeciwko. Dostrzegła z oddali siedzącego na nim mężczyznę. Był jednak za daleko, aby mogła rozpoznać twarz. Intuicja podpowiadała jej, że nigdy wcześniej go nie widziała. W pewnej chwili motocykl ruszył wprost na nią. Chciała uciekać, odskoczyć, lecz jej nogi pozostawały

drętwe, nieruchome. Nie potrafiła nimi poruszyć, straciła czucie.

Zamknęła oczy. Odrzuciło ją, jakby pojazd uderzył w nią z ogromną siłą. Zmusiła się do uchylenia powiek. Tkwiła nadal nieruchomo. Motocykl jakby przeleciał przez jej ciało. Usłyszała szum dochodzący z oddali. Trzepot skrzydeł. Odruchowo podniosła głowę. Miała rację. Nad nią przelatywało stado czarnych orłów. Piszczący. Leciały powoli, w określonej kolejności, zachowując odstęp. Tworzyły symbol... znak... literę... tak. Literę. Teraz widziała wyraźnie. Czarne orły leciały nad jej głową, tworząc literę H.

Ciemność. Zaczęła spadać. I nagle to charakterystyczne wyrwanie. Już po.

WSPOMNIENIE, 17 MAJA 2002

Nie pamiętam tego bardzo dokładnie. Raczej jak przez mgłę. To, co wyraźnie zapisało się w mojej świadomości, to twój wygląd. Kasztanowe długie włosy i twarz lalki. Byłaś taka piękna. Chociaż w ogóle nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Jeszcze wtedy kompletnie nie miałyśmy pojęcia, jak to wszystko się potoczy. Rzuciła mi się wówczas w oczy twoja miłość do brata. Wszystko byś dla niego zrobiła. Każdy o tym wiedział... na twoje nieszczęście.

Tego wieczoru, jak w każdy piątek, przyszedliśmy do mieszkania twojej matki. Mój ojciec robił z jej facetem jakieś interesy. Zawsze mówiłyśmy na to „jakieś”. Nikt tego nie nazywał jak należy... nikt dosłownie nie nazwał tego, co tam się działo. Może to i lepiej.

Miałyśmy iść do pokoju, zająć się sobą. Zachowywałaś się tak odmiennie ode mnie. Robiłaś, co mówili. Wykonywałaś każde polecenie. Ja... zupełnie odwrotnie. Ty i Franek oglądaliście telewizję. Ja rezydowałam pod drzwiami i wyłapywałam w tym chaosie słowa, które mogłyby dostarczyć mi jakichkolwiek wrażeń. W pewnym momencie drzwi się uchyliły. Do środka wszedł on. Powiedział:

— Chodźcie, dziewczynki. Coś wam pokażę.

Poszłyśmy. Ja pewnym krokiem, ty zaś w napięciu. Wyszłyśmy na podwórze. Okręzały nas te brudne stare mury. Na środku znajdował się trzepak, po przeciwnej stronie brama. Wskazał nam ręką drogę do piwnicy. Prowadziły do niej strome kamienne schodki. Stanęłyśmy przed łamiącymi się, zbitymi z desek drzwiami. Przekręcił kluczyk w ledwo dynadającej kłódce. Weszłyśmy, chociaż panowały tam egipskie ciemności. Szłyśmy krętą drogą, ściśle trzymając się ściany. Zawile korytarze i zakamarki na każdym kroku sprawiały wrażenie labiryntu. W pewnym momencie dojrzałyśmy światło. Ostre, rażące... Pochodziło z wiszącej na suficie jarzeniówki. Znalazłyśmy się w betonowym pomieszczeniu.

Pod ścianą ustawiono motocykl. Charakterystyczny, błyszczący. Przypominał pojazd wyjęty rodem z filmu *Mad Max*. Ojciec stanął naprzeciwko nas i powiedział:

— Trochę się zabawimy.

Zbliżył się. Trzymałyśmy się blisko siebie, a ja czułam, jak twoje ciało drży. Nie miałam wtedy pojęcia, czego tak bardzo się obawiasz.

— Dostaniecie zadanie — kontynuował. — Taką zagadkę do rozwiązania. Musicie ze sobą rywalizować. Ta, która wygra, otrzyma to чудо. Przegrana... no cóż. Zobaczymy... Coś się dla niej wymyśli.

W kącie urzędowało drewniane zniszczone krzesło. Sięgnął po nie i ustawił na środku. Rozsiadł się, kładąc prawą nogę na lewym udzie i splecionymi dłońmi przytrzymał kolano.

— Dobrze. To zaczynamy grę. — Chrząknął. — Co to jest? Nie lata, choć ma skrzydła. Błyszczący, choć najczęściej krwią. Ma dwie głowy i dwa serca, choć stanowi jedność. Zabija jako ogół, umiera jako jednostka. Czekam na odpowiedź. Zwycięzcy bierze wszystko... przegraną czeka kara. To jak? Znacie odpowiedź?

Denerwowałaś się. Nie miałaś pojęcia, o co chodzi. Ja też bym nie miała. Gdyby nie fakt, że słyszałam tę zagadkę w swoim życiu już tyle razy... Nie rozumiałam, dlaczego to zrobił. Miał świadomość, że odpowiedź znam tylko ja. Wystrzeliłam podeksytowana z odpowiedzią. Krzyknęłam:

— Husaria!

Zamarłaś.

On skinął głową.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Motocykl jest twój. Gratuluję. Możesz już iść, Eleno. — Spojrzał na ciebie. Obie wiedziałyśmy, co się wydarzy. — Ty zostajesz — dodał.

Wyszłam zadowolona, dumna z siebie, chociaż nie do końca pewna, co tak naprawdę ucieszyło mnie bardziej. Nagroda czy pokonanie ciebie?

No cóż... którąś z nas musiało to spotkać.